

## ZAMIAST WSTĘPU

6 Wspomnienia Anny Danuty Sławińskiej ze Szpitala św. Stanisława na warszawskiej Woli mają swoją długą historię. Na pewno były już gotowe w formie relacji w 1968 roku. Autorka odpowiedziała na apel osób przygotowujących publikację „Ludność cywilna w Powstaniu Warszawskim” i złożyła swoje wspomnienia 1 lutego 1968 roku w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk. Tekst nie został jednak opublikowany w książce, a jedynie w rejestrze umieszczono informację, że taka relacja została nadesłana (*Ludność cywilna w Powstaniu Warszawskim*, t. I, cz. 2, stroku 590).

Należy dodać, że fragmenty powstały znacznie wcześniej, jako notatki robione zaraz po wyjściu z Warszawy w sierpniu 1944 roku, ale też – jak się Czytelnik przekona – jako obrazy głęboko wyryte w pamięci Autorki.

Dopiero niedawno rodzina odnalazła maszynopis relacji w Archiwum Akt Nowych. Również niedawno zostały odnalezione inne wersje wspomnień Autorki z pierwszej połowy sierpnia 1944 roku. Za podstawę tego wydania posłużyła najobszerniejsza z nich, obejmująca cały okres służby A.D. Sławińskiej w Szpitalu św. Stanisława.

Inne maszynopisy potraktowano jako źródło uzupełnień. Zawierały m.in. informacje o życiu Autorki i jej rodziny przed wybuchem powstania czy dokładny opis szpitala przy ul. Wolskiej. Znamienne, że aż trzy odnosiły się do wydarzeń z 5 sierpnia 1944 roku: wspomnienie o spotkaniu z prof. Leonem Manteufflem, historia przyjaźni z Markiem Ilińskim – zaledwie pięciodniowej, ale dla Autorki bardzo ważnej, a także opis działań personelu szpitala, które przyczyniły się do poniesienia przez Niemców masowej egzekucji na przebywających tam ludziach.

Natłok wydarzeń i silne przeżycia spowodowały, że Autorka nie zawsze była w stanie przyporządkować poszczególnym faktom dokładne daty. Zamazuje się już granica między 3 i 4 sierpnia, a po tzw. czarnej sobocie i następującym po niej dniu pogrzebów – jak sama pisze – na próżno usiłuje uporządkować wspomnienia w czasie. Ta cecha tekstu nie stanowi jego wady. Przeciwnie – narracja łącząca opisy faktów z plątaniną myśli i uczuć, zawierająca zarówno ekspresyjne opisy wydarzeń, jak i detale codziennego życia i charakterystyki osób, daje niezwykle sugestywny obraz tego, co działo się w Szpitalu św. Stanisława w pierwszych dniach sierpnia 1944 roku, i nie pozwala przerwać lektury.

Bożena Sławińska i Agnieszka Wiśniewska

Jest nadal słonecznie, ale warstwa dymu pokrywająca niebo stała się jakby grubsza. Która to może być godzina? Pierwsza? Druga? Trzecia? Chyba około drugiej. Wówczas zjawia się niemiecki oficer – elegancki, kulturalnie wyglądający pan. Trudno mi powiedzieć, SS czy Wehrmacht. Nie przyglądam mu się dokładnie. W każdym razie normalny oficer w okrągłej czapce z lśniącym daszkiem. Dla mnie to jednak dowódca zbirów, którzy „zajmowali” się nami przed godziną, a teraz raczą się alkoholem. Niemiec przyniósł polecenie, żeby z naszego szpitala dać ludzi (lekarzy i pielęgniarki) znających język do niemieckiego punktu opatrunkowego. Znów ten punkt opatrunkowy! Kto ma iść? Pani „Elżbieta”, ja i ktoś jeszcze, nie pamiętam. Nikt nie pyta nas o umiejętności. „Elegancki” Niemiec zachowuje się bardzo uprzejmie – daje słowo honoru niemieckiego oficera, że nic nam się nie stanie. Komedia! Czy w tych okolicznościach Niemiec ma słowo honoru, w które Polak może uwierzyć?

Już mamy wyjść, gdy rozlega się wołanie: – *Ej! Schwester!* – To do mnie. Bardzo typowa, wręcz klasyczna scena (od dłuższego już czasu odbieram wszystko jak film rozgrywający się przed moimi oczami, z tym tylko, że z moim udziałem). Siedzą porozwalani, rozparci na półokrągłej ławce w cieniu drzew. Spoglądają ku mnie bezczelnie. Potworne, pijane gęby – mordy tamtych z czołgu. Zdeformowane, patologiczne szczęki z wystającymi kłami, oczy o zwierzęcym wyrazie. Ten, który się do mnie zwraca, przypomina krzyżówkę wilka z krokodylem. Podaje mi otwartą butelkę z jakąś nalewką. Każe spróbować, czy nie zatrute – po to zostałam przywołana. Chwytam butelkę, przykładam szybko do ust, pociągam dobry łyk. Myślę, że na pewno dobrze mi zrobi na drogę. Nic mnie nie obchodzi ich śmiech,

a oni rżą, wyją i kwiczą, uderzając się dłońmi po udach. Szyderczy, zły rechot słyszę jeszcze wychodząc na ulicę. Makabryczna groteska, satyra na sytuację, w której jesteśmy. Wszystko zdaje mi się przesadzzone, już raz przeżyte, wyczytane w podejrzenie sensacyjnej opowieści. To jest kicz, melodramat z nadmiarem upchanych wątków i akcentów. Czy tak właśnie wygląda życie? Takie myśli przebiegają mi przez głowę, kiedy wychodzimy na ulicę.

Za bramą nie patrzę w prawo, a eskorta każe nam skręcić w lewo. Rozglądam się i zaczynam rozumieć, co działo się poza szpitalem, co działo się od rana, kiedyśmy słyszeli strzały i wybuchy, kiedy przenikał do naszych uszu dziwny, nieznan, wysoki dźwięk, jakby daleki śpiew, szum, westchnienie, coś niepokojącego jak zapach dymu. Jezdnia i chodnik Wolskiej są usiane ciałami. Szeroka jezdnia i szerokie chodniki. W większości to trupy kobiet i dzieci, ale są i mężczyźni. Nie przypatruję się leżącym zwłokom. Wystarczy mi widok ogromnej dziury w czaszce mężczyzny leżącego przed wyjściem ze szpitala, widok masy mózgowej w dziurawym czerepie. W każdym razie mijamy więcej niż pięćdziesiąt ciał, a może sto... Porozrzucone wokół tobołki, części ubrania, łachmany są tak podobne do szmat, w jakie zmieniają się po śmierci ludzie zastrzeleni na ulicy, że wydaje mi się, jakbym patrzyła na setki pomordowanych. Ale czy to możliwe? Chyba gra wyobraźni.

Z początku idziemy chodnikiem. Minęliśmy bramę fabryki Franaszka, w której przed paroma dniami czatował niemiecki strzelec. Teraz zauważyłam w bramie kilkadziesiąt kenkart i ausweisów. Porzucone, niepotrzebne już papiery. Fabryka Franaszka płonie, a dalej? Dalej idziemy już jezdnią, bo płoną wszystkie domy z wyjątkiem

dobry. Widzę to i chcę mu jakoś okazać, dotykam opartej o drzwi ręki i mówię: – Niech panu Bóg wynagrodzi. – Potem odchodzę z chłopakiem, prowadzę go na salę opatrunkową.

Pogrzeb Marka musiał odbyć się 6 sierpnia po południu. Ja dowiedziałam się chyba w ostatniej chwili, bo pamiętam już tylko księdza, który stał nad zamkniętą trumną, i dalej..., i że ksiądz mówił coś wzruszającego..., i płaczące szarytki. Markowi oddano podobno ostatnią trumnę i zabrakło dla aptekarza, którego trafiła zabłąkana kula. Wszyscy zadawaliśmy sobie te same pytania: dlaczego Marek i dlaczego o to pytamy, skoro wokół zginęły tysiące. Co on takiego zrobił, że płaczą po nim zakonnice. Ja najlepiej wiedziałam, jaki był. Wszyscy widzieli, jak wyglądał i jak się zachowywał. Był dobry i zgodnie z tym działał.

Nasz szpital stał się siedzibą niemieckiej jednostki sanitarnej. Punkt opatrunkowy *Waffen SS*, który wczoraj mieścił się na trawie przy wiadukcie, dzisiaj zajmuje oszkloną poczekalnię w głównym gmachu szpitala. Niemcy rozgościli się już na dobre. Wysoki *Stabsarzt* może korzystać ze wszystkiego, czym dysponuje szpital. Niemiec został przebrany od stóp do głów na białą i wygląda w tym stroju tak samo naturalnie jak doktor Kubica, któremu udało się go jakoś ustawić – niezupełnie w roli pana życia i śmierci, ale trochę w roli gościa i kolegi po fachu. Na parterze, w sali opatrunkowej (operacyjna mieści się na pierwszym piętrze) pracują obok Niemca także doktor Manteuffel i pani „Elżbieta”, absolwentka medycyny, która studiowała w Wiedniu i perfekt zna niemiecki. To, że wszyscy doskonale mówią po niemiecku, ułatwia w znakomity sposób sytuację, umożliwiając współpracę z Niemcami. Można więc uniknąć

komplikacji i nieporozumień wynikających z trudności językowych. Można wygrać wszystko, co jest do wygrania. Umiejętności kierownictwa szpitala miały nieoceniony wpływ na przyszłą egzystencję tej niewielkiej wysepki, otoczonej przez morze zbrodni i nieszczęścia – wysepki, która dotrwała aż do listopada, kiedy nastąpiła ostateczna ewakuacja szpitala. Pani „Elżbieta” oddaje służbę rannym i szpitalowi wszystkie siły i umiejętności. Nie widzę, żeby odpoczywała lub uchylała się od czegoś. Widzę natomiast, jak się spała. Jej twarz, co dzień szczuplejsza, mizerna i pociemniała, stężała w wyrazie nieustannego napięcia, a spieczone wargi wyrażają niekończącą się mękę. Jej udręka rozpoczęła się od wiadomości o śmierci męża. Już wtedy została dotknięta przez los, który nas wszystkich uderzył o dwa dni później. Twarz naczelnego lekarza doktora Kubicy wyraża skupienie i energię. On jest odpowiedzialny za całość.

W piwnicy panuje makabryczny nastrój. Ludzie dowiadują się powoli o tym, co zdarzyło się wczoraj i co nadal (choć w złagodzonej formie) odbywa się w całej dzielnicy. Kolejno dowiadują się o swoich stratach. Szczęśliwie jednak nie widzieli na własne oczy ogromu klęski, a wyobraźnia nie może nadążyć za rzeczywistością.

Nasza gromadka przeżywa śmierć Marka i śmierć człowieka, którego nie znaliśmy, a który zginął o kilkadziesiąt metrów od nas, na terenie remizy tramwajowej – „Jagusia” dowiedziała się o zamordowaniu swojego ojca. Jest więc sierotą, została jej tylko siostra i – najlepsza w świecie – lecz jednak tylko macocha. Nie wie zresztą, czy na pewno żyją. Czy żyją jeszcze w tej chwili. Opowiadam grupce przyjaciół o dziwnym spotkaniu z kierowcą amfibii. Jurek mówi, że muszę go odnaleźć i sprawdzić, czy on i nasz wczorajszy gość,

i radosnych. Nigdy nie będę mogła uznać, że są równie czy bardziej winni niż Niemcy. Oni nie rozumieli tego, co czynią, lub pojmowali to inaczej. Nic nie da się moim zdaniem porównać z tępą, ponurą wściekłością, z ohydny cynizmem cywilizowanych niemieckich zbrodniarzy, w pełni świadomych, działających z przekonaniem i premedytacją, lecz również z przyjemnością.

Zaczynam unikać Rudolfa. Zgodnie z umową gotuję obiady, dbam o swojego stołownika, ale wystrzegam się przypadkowych spotkań. Jeżeli trzeba przechodzić przez teren uczęszczany przez Niemców, proszę o pomoc Gabrynię. Nic jej nie grozi. Mój „cudowny” esesman nie stał się nachalny ani uciążliwy, wprost przeciwnie: kulturalnie z godziny na godzinę. Mimo to nie powinien widywać mnie zbyt często. Po prostu jest zakochany, jeszcze nawet gorzej, bo kochający. Nie zaczepia, nie flirtuje, ale czeka. Nie rezygnuje. W razie czego Gabrynia również może się z nim dogadać. Chodzi więc zamiast mnie i ze zdumieniem kręci głową: – To nie do wiary, skąd się ten człowiek tutaj wziął. Taki człowiek w SS? – Rudolf jest rzeczywiście niezwykły. I jeszcze to coś nieokreślonego... Gabrynia mówi, że on ma niesamowite spojrzenie. Ale ja mam już dosyć niemych dialogów. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby ten dziwny Niemiec znał moje myśli na swój temat, ani lepsze, ani gorsze. Zabawa zaczyna być zbyt ryzykowna. Nie zawsze jednak mogę pozwolić Gabryni na chodzenie po terenie. Jest nowe niebezpieczeństwo. Znow ogarnia wszystkich przerażenie, znow ludzie kryją się po kątach.

Nie wiem, czy to był pierwszy nalot, ale w każdym razie pierwszy na taką skalę. Przyszli, żeby zabrać ze szpitala wszystkich „niepotrzebnych”, a więc uciekinierów, pogorzalców, ozdrowieńców.

Wszystkich, którzy się u nas skryli. Że wypatrywali powstańców i chcieli potraktować podejrzanych tak jak tamtych dwóch mężczyzn powieszonych przy kuchni, o tym nie ma co dyskutować, ale i bez podejrzeń brali, kogo się dało. Los zabranych pozostawał dla nas złowrogą tajemnicą.

Stoję na piętrze tylnego bloku szpitala i patrzę przez okno. Weszli właśnie na sąsiednią klatkę schodową. Nasza paczka jest w komplecie. Jurek wprawdzie jako chory, a nie ranny, ale ręka w gipsie! „Jagoda” i Gabrynia – w szlafrokach w kratkę, ale przecież zdrowe! Ileż ludzi schowało się na oddziale, udając chorych. Ja jestem bezpieczna jako stały personel. Niemcy honorują dokumenty. Są znowu w fazie pseudo praworządności. Co mi jednak z tego przyjdzie, że ja zostanę, jeżeli mi ich zabiorą? Jestem bezsilna. Nie mogę sobie wyobrazić, co będzie, jak tu przyjdą. Patrzę przez okno – chodzą, wrzeszczą. Oni wciąż wrzeszczą. Straszne są ich wrzeszczące mordy, dzikie brutalne chamstwo i świadomość, że nie ma przed nimi obrony, że ich możliwości są nieograniczone, a my nie możemy nic. Nie, ich nie możemy powstrzymać, ani my, ani nikt i nic. Chyba tylko Bóg. On jeden! To są lata, kiedy się modłę. Wprawdzie nie lubię się na przykrzać Panu Bogu, co mi jednak pozostaje innego. Może wysłucha, jeżeli zechce? Nie znam Jego planów, może są inne niż moje. Nie mam zasług, na które mogłabym się powołać. Przemawia za mną jedynie to, że nie proszę dla siebie, ale dla innych. „Jeżeli chcesz, to zatrzymaj tamtą zgrają na progu. Wiem, że możesz wszystko!” Tu na górze – stojąca w milczeniu gromadka, na podwórzu – tamta wrzeszcząca zgraja. Już są przy naszym wejściu. Skupiam się cała na tym jednym błaganiu: „Zatrzymaj ich, jeśli chcesz, bo Ty jeden możesz to

zawsze obóz, lepiej, żeby siostra została. – Zostać, nie zostanę, ale dziękuję za blok i dobre słowo, którym mnie Niemiec żegna (czy i ten jest mordercą?).

Myślę: obóz to obóz, ale do Niemiec nie pojedę ani ja, ani oni. Idę przecież z nimi po to, żeby im pomóc, a nie żeby nas wspólnie pognano gdzieś jak barany. Staszek uciekł z Oświęcimia, uczył mnie, jak uciekać, jakich używać podstępów, jaką wybierać taktykę. Mówił, żeby udawać głupią, naiwną gęś. Nie grać bohaterki ani zrozpaczonej, bo to stwarza warunki do jakichś nagłych decyzji. Pruszków to nie Auschwitz. Stamtąd mam dwa kilometry do Komorowa! Wracam do mamy, obóz to nie dla nas! A do Rudolfa napiszę przy pierwszej okazji. *SS-Feldpost* – to wygląda całkiem korzystnie. Osoba pisząca listy na *SS-Feldpost* jest kimś. Z pomocą Bożą musimy się wyplątać, tak jak dotychczas. Wyruszamy w nieznane. Rozstanie ze szpitalem i kawałkiem niezbyt zwyczajnej przeszłości nie jest łatwe, ale mój nastrój daleki od rezygnacji podsuwa mi raczej optymistyczne myśli. Dobrze, że idę z nimi. Nigdy bym sobie nie darowała, gdybym puściła ich samych. Uniknę też kłopotów, które mogłabym mieć tu, na miejscu. Nie wiadomo już, co gorsze.

Wyjście naszej grupy na ulicę Wolską przecięło wszelkie myśli tego rodzaju. Jak za pociągnięciem dźwigni rozpoczął się „film wspomnień”, znów, jak pod złym urokiem, zaczęły się przed moimi oczami przesuwac obrazy sprzed kilku dni. Widziałam leżące trupy, choć w rzeczywistości już ich tam nie było, ale mimo to pozostałam świadoma tego, co dzieje się dookoła mnie. Nakładanie się na siebie scen widzianych w różnym czasie stwarzało ten męczący klimat pół jawy, pół snu, który 5 sierpnia po raz pierwszy przeraził mnie groźbą szaleństwa.

Mijamy bramę fabryki Franaszka, ulicę Płocką. Powoli zbliża się do nas coraz bardziej wyniosła wieża kościelna, która przez kilka dni zagrażała całej dzielnicy. Kościół okazuje się miejscem, ku któremu nas pędzą<sup>85</sup>. Wspomnienia znieczuliły mnie całkowicie na zawodo-wo brutalne zachowanie eskorty. Ich krzyki i poganianie nie sprawiają wrażenia rzeczywiście gniewnych ani groźnych, nie przyspieszają też powolnego marszu kolumny, której tempo jest dostosowane do możliwości chorych i rannych, dodatkowo zmęczonych sierpniowym upałem. Ten przemarsz jest bez porównania mniej tragiczny niż poprzednia moja wędrówka tą drogą. Gdyby nie wspomnienia sprzed kilku dni, nie zrobiłby na mnie specjalnego wrażenia, albo przeciwnie – byłby właśnie straszniejszy.

Po wejściu na cmentarz, który nie nasuwał mi żadnych wspomnień, znów zaczynam zauważać, co się dzieje wokoło. Na podwórku kościelnym zgromadzono już sporo ludzi. Kilkaset osób, przeważnie kobiety i dzieci, młodych mężczyzn widać niewiele. Teraz dołącza kolumna ze św. Stanisława, dzieląca się wyraźnie na dwie grupy. Jedna – złożona przeważnie z kobiet, w której jest i nasza grupka, i druga – dwudziestu kilku rannych mężczyzn. Niemcy kierują nas w przeciwny koniec cmentarza, oddzielając przybyłą z nami męską grupę. Niknie mi ona z oczu za ścianą kościoła. Zgarbiony Jurek, którego zasłaniamy przed wzrokiem esesmanów, zostaje między nami. Raz jeszcze udaje mu się uniknąć losu zgotowanego rannym mężczyznom. Ani w ciągu najbliższych godzin, ani już nigdy w przyszłości nikt ich nie widział. Nie spotkaliśmy ich potem w ciągu. Nie widzieliśmy żadnego w obozie. Nikt z ich znajomych

85 Mowa o kościele św. Stanisława parafii św. Wojciecha, przy ulicy Wolskiej. Niemcy zorganizowali w nim jeden z punktów zbornych, w którym dokonywali wstępnej „selekcji” wypędzanych warszawiaków.



*Powstanie Warszawskie. Wola.  
Kolumna kobiet i dzieci pędzonych  
do kościoła św. Wojciecha*



*Powstanie Warszawskie. Wola, ul. Wolska.  
Ludność cywilna pędzona do kościoła św. Wojciecha*